

PAUza

Akademicka



Rok XVIII

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności Nr 766

pauza.krakow.pl

Kraków, 12 marca 2026

pau.krakow.pl

A gdyby zrezygnować z tytułu naukowego?

Wieloletni brak nadania dr. hab. Michałowi K. Bilewiczowi, znakomitemu psychologowi społecznemu, badaczowi uprzedzeń i mechanizmów pojednania, tytułu naukowego profesora przywołuje uzasadnione skojarzenia z czasami słusznie minionymi, a jest szczególnie niesmaczne i niepokojące w zestawieniu z deklaracją Prezydenta Nawrockiego o wolności akademickiej i publicznym wyrażeniem przez niego podczas uroczystości wręczania nominacji profesorskich (na której pominięty został dr hab. M.K. Bilewicz) życzenia, by naukowcy „pilnowali życia publicznego w Polsce”. Niepokojące również dlatego, że nasuwa wątpliwości co do szczerości innych, równie pięknie brzmiących deklaracji Głowy Państwa.

Profesor Zoll, a następnie profesor Safjan, zwrócili na łamach PAUzy (nr. 759 i 761) uwagę, że nadawanie tytułu profesora nie jest prerogatywą Prezydenta wynikającą z Konstytucji. Istotnie, Konstytucja przewiduje nadawanie przez Prezydenta stopni wojskowych (art. 134) i powoływanie sędziów (art. 144). Zapis: „Tytuł profesora nadaje Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej” znajduje się w Ustawie o Szkolnictwie Wyższym i Nauce (art. 178 Ustawy z dnia 20 lipca 2018 r.). Wadą tego zapisu jest brak (zapewne uznanego za oczywisty, jednak niewyartykułowanego) związku między wnioskiem Rady Doskonałości Naukowej o nadanie tytułu a nadaniem tytułu przez Prezydenta, stwarzający pole do arbitralnych decyzji. W świetle tego ustawowego niedopowiedzenia i problemów z nadaniem tytułu na podstawie kryteriów najwidoczniej niezwiązanych z dorobkiem naukowym bardzo podoba mi się opinia profesora Zolla, kwestionująca celowość nadawania przez Prezydenta tytułu profesorskiego i sugerująca, by to wydarzenie miało charakter uroczystości akademickiej (PAUza 759).

Chciałbym jednak przedstawić stanowisko jeszcze bardziej radykalne. Moim zdaniem, tytuł profesora uległ na przestrzeni lat znacznej dewaluacji. Przyczyniło się do tego zamieszanie terminologiczne – użycie tego samego słowa w dwóch różnych znaczeniach (dla określenia zarówno tytułu naukowego, jak i stanowiska), obniżenie wymagań ustawowych dotyczących uzyskania tytułu profesora, spłylenie formularza recenzji wniosku o tytuł, a także możliwość zaskarżenia negatywnej decyzji Rady Doskonałości Naukowej. Pisała o tym profesor Łętowska (PAUza 758 i 759). Do osób nieposiadających tytułu naukowego profesora, lecz zatrudnionych na stanowisku profesora uczelni, zwracamy się „pani profesor/panie profesorze”, a część rzeszy studenckiej (zwłaszcza na początkowym etapie studiów) jest przekonana, że „doktor” to ktoś ważniejszy niż „profesor”, bo przecież „profesorów” mieli już w szkole średniej. Kuriozalną sytuacją jest, że zamieszanie terminologiczne nie ominęło kluczowych ustaw. W świetle Konstytucji „Rzecznik Praw Obywatelskich nie może zajmować innego stanowiska, z wyjątkiem stanowiska profesora szkoły wyższej” (art. 209). Obecny Rzecznik Praw Obywatelskich, dr hab. Marcin Wiącek, jest zatrudniony na Uniwersytecie Warszawskim na stanowisku profesora uczelni. Gdyby jednak w czasie pełnienia swojej funkcji Rzecznika uzyskał tytuł

profesora, jego zatrudnienie na stanowisku profesora (do czego miałby prawo) sprawiłoby, że dalsze sprawowanie przez niego szczytnej funkcji Rzecznika Praw Obywatelskich stałoby się... niezgodne z Konstytucją. Oczywiście przyczyną tego stanu rzeczy jest zmiana pojęcia „profesor uczelni”, jaka dokonała się po uchwaleniu Konstytucji; obecnie „profesor uczelni” to stanowisko inne niż stanowisko profesora zatrudnionego na uczelni (a o to zapewne chodziło twórcom Konstytucji).

Czy nie warto byłoby rozważyć rezygnacji z tytułu naukowego profesora, ograniczając znaczenie tego terminu do stanowiska na uczelni, tak jak to jest w wielu krajach, zwłaszcza anglosaskich, o niekoniecznie niższym od naszego poziomie nauki? Można argumentować, że byłby to cios w piękną akademicką tradycję i demotywna doktorów habilitowanych do dalszego rozwoju naukowego. Warto jednak zastanowić się, co daje tytuł profesora? Jego atutami są: dożywotność, uściśnienie ręki Prezydenta podczas nominacji, podwyżka uposażenia i możliwość dłuższej pracy na uczelni (co traci na znaczeniu w świetle nowych regulacji prawnych). Dużo było oczekiwań, że uzyskanie tytułu profesora da więcej przywilejów, nie doczekały się one jednak realizacji.

Warto przypomnieć, że niegdyś istniały dwa tytuły profesora: profesor nadzwyczajny i profesor zwyczajny; nominacje w obu przypadkach były uroczyste wręczane w Belwederze. Nie wydaje mi się, by likwidacja tytułu naukowego profesora zwyczajnego odbiła się negatywnie na poziomie badań naukowych w naszym kraju. Nie sądzę też, by likwidacja tytułu profesora istotnie zmieniła ten poziom. Wprawdzie warunkiem uzyskania tytułu profesora jest posiadanie „wybitnych osiągnięć naukowych krajowych lub zagranicznych” (art. 227 Prawa – Ustawy o Szkolnictwie Wyższym i Nauce), jednak bez sprecyzowania, a nawet ustawowe rozmycie ostrości tego wymogu pozostawia (zbyt) szeroki obszar dla jego interpretacji i niejednokrotnie powoduje uznanie za wybitny miernego dorobku. W prywatnej ocenie potencjalnego kandydata do współpracy czy recenzji to, czy jest on profesorem, czy „tylko” doktorem habilitowanym, nigdy nie miało dla mnie znaczenia; najważniejsza była zawsze kompetencja i dorobek naukowy.

Co jakiś czas poddaje się pod dyskusję, czy celowe jest utrzymanie habilitacji, czy należałoby ją znieść. A może zostawmy habilitację, a zastanówmy się nad zasadnością istnienia tytułu naukowego profesora? Takiemu posunięciu winno jednak towarzyszyć zwiększenie wymagań stawianych kandydatom do habilitacji, m.in. odejście od kwalifikowania kilkudniowych wyjazdów jako staży naukowych czy łagodnych warunków „lub... lub...” Czy opóźniałoby to habilitację? Zapewne, lecz dawałoby większą gwarancję, że naukowiec, który osiągnął „samodzielność” i którego uprawnienia w zakresie kierowania zespołami badawczymi i opiniowania (z wyjątkiem recenzji wniosków o tytuł naukowy, które stałyby się zbędne) w istocie są takie same jak profesora – będzie bardziej naukowo doświadczony i dojrzały. A kariera naukowa stałaby się zupełnie niezależna od prezydenckiego widzimisię.

Nadregulacja i regulacyjna próżnia w polskiej etyce badań naukowych

Etyka badań naukowych w jej przyjmowanym zazwyczaj znaczeniu nie jest jedynie czystą etyką, tzn. normatywną dyscypliną filozofii, odgraniczaną od dziedziny prawa. Przejawia się to również w charakterystyce uniwersyteckich gremiów, określanych jako komisje ds. etyki badań, lecz oceniających rozpatrywane projekty badawcze nie tylko pod względem ich kwalifikacji swoiście etycznej, lecz także ich zgodności z obowiązującym prawem, jeżeli już nie całkiem twardym, czyli ustawowym, to przynajmniej instytucjonalnym lub profesjonalnym. Nic więc dziwnego, że członkowie akademickich komisji, którzy mają oceniać projekty badań naukowych, szczególnie prowadzonych z uczestnictwem ludzi, nerwowo poszukują prawnych regulacji, na których mogliby oprzeć swoje etyczne oceny.

Wynik ich poszukiwań bywa bardzo różny, przede wszystkim zależnie od tego, jaka dziedzina badań ich interesuje. Gdy chodzi o badania dotyczące prób klinicznych, czy w ogóle eksperymentów medycznych, repertuar ich regulacji obowiązujących w Polsce – bądź to na mocy naszego rodzimego prawa, bądź w wyniku umów międzynarodowych – jest dosyć bogaty. Można się wprawdzie zastanawiać, czy należące do niego przepisy są zawsze jasne, jednoznaczne i spójne, ale to już jest inne pytanie, którym nie będę się tutaj zajmował. Tym, o co mi tutaj chodzi, jest bowiem polski stan regulacji przedsięwzięć badawczych, które nie są normowane przez owe szczególne przepisy, a zatem medycznych badań nieinterwencyjnych, a przede wszystkim różnorakich badań społecznych. Polskie regulacje badań w naukach społecznych nie są przytłaczająco obfite. Nasze rodzime prawa normujące tę dziedzinę, a także stosujące się do niej rozporządzenia międzynarodowe (jak RODO), są dosyć monotematyczne, dotycząc głównie poszanowania danych osobowych. Tymczasem ochrona prywatności jest wprawdzie istotną częścią etyki badań naukowych, ale nie wyczerpuje jej problematyki. Gdy jednak niepokoją nas inne problemy etyczne napotymane w badaniach społecznych, odnajdywane przez nas regulacje nie ułatwiają ich rozwiązywania. Kondycję, w której pod tym względem się znajdujemy, można by nazwać stanem regulacyjnej próżni.

Ta regulacyjna próżnia – nieobecność prawnych regulacji dotyczących badań w naukach społecznych – narzuca się nam wszakże najpierw w sferze prawa, które – jak już wspomniałem – określa się jako twarde. Moglibyśmy się zatem (z niejaką nadzieją) zastanawiać nad tym, czy nie jest ona jednak przez coś wypełniana. Bo przecież oprócz tych twardych regulacji istnieją też miękkie, które choć bez formalnej ważności, mogą mieć pewien autorytet. Jednym z tych potencjalnie autorytatywnych źródeł, w których blakający się członek uczelnianych komisji etycznych mógłby wypatrywać jakichś drogowskazów, jest Kodeks Etyki Pracownika Naukowego PAN (2024), a innym zespół dokumentów wydanych przez NCN. Gdy jednak sięgamy do tych instytucjonalnych tekstów i próbujemy wydobyć z nich konkretne instrukcje, dotyczące np. przypadków, w których prowadzący badania nie musi uzyskać świadomej zgody jego uczestników, wyniki naszych usiłowań są zniechęcające. Z Kodeksu PAN najpierw dowiadujemy się, że „Badania z udziałem człowieka należy prowadzić z poszanowaniem ludzkiej godności” (§ 12), a następnie czerpiemy naukę: „Warunkiem dopuszczalności badania z udziałem człowieka jest uzyskanie od potencjalnego uczestnika badania (lub jego przedstawiciela ustawowego) świadomej zgody (*informed consent*) na udział w badaniu”

(§ 13). Tak bezwzględna zasada świadomej zgody na uczestnictwo w badaniach z udziałem ludzi byłaby może do obronienia pod warunkiem radykalnego ograniczenia „ludzkiego udziału w badaniach”, ale tego ratującego zabiegu Kodeks PAN nie tylko nie dokonuje, lecz nawet nie sugeruje. Z podobną niespójnością mamy do czynienia w dokumencie NCN zatytułowanym *Wytyczne dla wnioskodawców do uzupełnienia formularza dotyczącego kwestii etycznych w projekcie badawczym*. W jego nowszej wersji, ostatnio zaktualizowanej w roku 2023, podaje się definicję: „Przez badania z udziałem ludzi należy rozumieć wszelkie badania, w których uczestniczą ludzie. Badania takie mogą obejmować wywiady, obserwacje, użycie danych osobowych, pozyskiwanie próbek biologicznych, interwencje medyczne i psychologiczne, wykorzystanie wcześniej zebranych informacji itd.” Ta już i tak wystarczająco szeroka, a przez zwrot „itd.” otwarta na dalsze poszerzenia formuła, nie przeszkadza jednak twórcom *Wytycznych*... domagać się od ich adresatów, czyli aplikujących o grant na jakiegokolwiek badanie z udziałem ludzi (np. na „wykorzystanie wcześniej zebranych informacji”), aby uzyskali „świadomą zgodę uczestników lub przedstawiciela ustawowego na udział w badaniach oraz zgodę odpowiedniej komisji przed rozpoczęciem prac”. Jest jasne, że jeśli adresaci tego rodzaju wymagań będą je brali na serio, wiele planowanych przez nich prac badawczych nie zostanie nigdy rozpoczętych.

Wspólną cechą obydwu cytowanych tutaj dokumentów – a w polskiej przestrzeni regulacyjnej nie ma właściwie innych o podobnie szerokim, międzyinstytucjonalnym zasięgu – jest pozorna nadopiekuńczość w stosunku do potencjalnych uczestników badań. Dbając o to, aby nie stała im się żadna krzywda, odcina się – świadomie lub nieświadomie – całe gałęzie uprawnionych i potrzebnych badań naukowych. Jeżeli więc chcemy opisać kondycję, w której jako poszukujących jakiegoś normatywnego oparcia w etycznej ocenie badań społecznych stawiają nas owe miękkie regulacje, skierowane do polskich badaczy, musimy z kolei powiedzieć: jesteśmy w stanie nadregulacji.

To ostatnie stwierdzenie wydaje się w pierwszej chwili niezupełnie zgodne lub nawet jawnie sprzeczne z poprzednim. Czy bowiem regulacyjna próżnia nie jest brakiem regulacji, tak jak nadregulacja raczej ich nadmiarem?

A jednak obie godzą się ze sobą i składają się wspólnie na naszą kondycję. Nadregulacja oznacza nie tyle nadmiar regulacji, ile brak odpowiedniej miary w regulacjach – stan niedaleki od regulacyjnej próżni. Jak przed chwilą wspomniałem, morfologia powyższego słowa przywodzi na myśl takie nazwy, jak nadopiekuńczość czy też nadgorliwość, ale te skojarzenia są dosyć mylące. Odradzanie badań z udziałem napływających do Polski migrantów może wydawać się zachowaniem opiekuńczym w stosunku do bezpośrednio badanych jednostek, które byłyby np. pytane, czego im u nas brakuje, ale na pewno nie jest zbyt opiekuńcze w stosunku do badanej populacji, która mogłaby odnieść korzyść z rozpoznania takiej informacji. Poważne zastrzeżenia budzi także nadgorliwość. Tym, co rodzi nadregulację, jest bowiem raczej regulacyjne lenistwo. Właściwe unormowanie jakiegoś działania – np. odstępowania w badaniach społecznych od rygoru etycznej opinii lub świadomej zgody – wymaga żmudnego często odgraniczania przypadków, w których te odstępstwa są uzasadnione. Zamiast trudzić się zakreślaniami im granic, łatwiej jest ich po prostu zabronić.

Trudna miłość Internetu

W latach 70. XX wieku istniało już wiele centrów obliczeniowych wyposażonych w komputery dużej mocy, ale ponieważ używały różnych systemów, komunikacja między nimi sprowadzała się do poczty elektronicznej i przesyłania plików. Obecnie mamy globalną sieć wymieniającą dane między sieciami lokalnymi rozmaitych systemów operacyjnych. Umożliwiły to prace Vintona Cerfa i Roberta Kahna z ARPANET (Advanced Research Projects Agency Network), którzy zaprojektowali dwa „protokoły”: TCP (Transmission Control Protocol) oraz IP (Internet Protocol). Protokół w języku informatyki to ścisły zestaw reguł i kroków postępowania, wykonywanych automatycznie przez urządzenie. Cały proces transmisji danych przez sieć składa się z trzech warstw: **fizyczna** obsługuje infrastrukturę połączeniową, czyli kable, światłowody, modemy etc.; **transportowa** i jej protokół TCP dzieli dane na pakiety, zapewnia ich niezawodne porządkowanie, potwierdza ich odbiór, a w razie potrzeby retransmituje utracone informacje; **sieciowa** odpowiedzialna jest za adresowanie i kierowanie pakietów danych.

W kolejnych latach ulepszano protokoły, rozszerzając ich funkcjonalność, na przykład o funkcje pomagające eliminować złośliwe oprogramowanie.

Obecny rozkwit Internetu wiąże się z pracami Tima Bernersa-Lee, który w latach 1989–1999 rozwijał w CERN-ie słynne HTTP (Hypertext Transfer Protocol), protokół warstwy aplikacji, najwyższej w stosie warstw. Odkrywcze rozszerzenie pojęcia tekstu zaowocowało szeroką gamą możliwych do transportu zasobów, np. stron www. Wydana w roku 1991 wersja HTTP/1.1, pozwalająca na trwałe sesje, przez wiele lat była standardem.

Zdaje się, że nie było żadnych fajerwerków, ale od ćwierćwiecza mamy to! Globalną sieć łączącą miliony urządzeń: komputerów, smartfonów, routerów... na całym świecie. Mamy błyskawiczny dostęp do wiadomości, wiedzy, sztuki, rozrywki, rozmaitych dokumentów, bankowości etc.

Wartkimi strumieniami płyną też kłamstwa i łajdactwa. Wygląda na to, że wolność jest darem zbyt trudnym dla wielu.

W życiu codziennym Internet przestaje być opcją, a staje się obowiązkiem. Coraz więcej spraw urzędowych, finansowych czy

administracyjnych nie tylko możemy, ale już musimy załatwiać za pomocą Internetu. I tu jego zalety są niewątpliwe. Oszczędzamy czas, papier, wizyty w urzędach.

Ale są też niepotrzebne udręki, bo rzecz psują graficy komputerowi.

Zwykle na początku sesji smartfon czy laptop wita nas rażącą bielą, w której mienia się wątle, często niekontrastowe napisy. Trudno w to uwierzyć, ale białe napisy na jasnożółtym tle nie są rzadkością. Prawie każdy system operacyjny oferuje ustawienie grafiki w tzw. trybie ciemnym (dark mode). Proszę zwrócić uwagę, że w ustawieniach ogólnych występują one w zakładce „ułatwienia dostępu”. To może zwiększyć „komfort optyczny”, ale często wymaga dopracowania, na przykład w trybie ciemnym autorzy oprogramowania zadbał tylko, by pierwsza para kolorów była dobrze kontrastująca. Także globalne ustawienie trybu ciemnego nie zawsze obejmuje wszelkie aplikacje, między innymi przeglądarki.

Zwykle projektant strony ma do dyspozycji wszystkie kolory, kontrast, kroje czcionek. Wystarczy użyć ich rozsądnie. Podobnie twórca strony może rozporządzać wszystkimi narzędziami dotyczącymi gospodarowania jej powierzchnią. Bardzo często kluczowy dialog odbywa się poprzez małe okienko, zajmujące mniej niż 1/200 powierzchni strony, często umieszczone gdzieś w jej kącie. To są mankamenty, które łatwo wskazać i poprawić. Znacznie trudniejsze i nie mniej liczne dotyczą meritum dialogu. Ograniczę się do przykładu. Znajomy profesor został zaproszony do wygłoszenia referatu na dużej międzynarodowej konferencji. Gdy zbliżał się jej termin, postanowił sprawdzić na odpowiednich stronach, gdzie i kiedy ma się odbyć jego wykład. I wówczas został „przewleczony” przez szereg meta stron www, zadających mu niejasne pytania odnoszące się do kategorii jego wykładu i innych informacji, których nie znał. Po wielu nieudanych próbach zadzwonił po prostu do jednego z organizatorów. Taki przypadek, w którym aplikacja zadaje nam niepotrzebne pytania blokujące sedno sprawy, nie jest rzadkością.

Internet jest wspaniałym narzędziem, ale warto i trzeba go stale ulepszać.

PIOTR MALECKI

Instytut Fizyki Jądrowej PAN (emeritus)

SPROSTOWANIE

Szanowny Panie Profesorze,

w PAUzie 764 znajduje się artykuł pt.: *À propos antropocenu...* Znalazłem w nim poważny błąd. W czasie małej epoki zlodowacenia poziom CO₂ w atmosferze wynosił około 280 ppm, a nie jak pisze autor 7–17 ppm. Rośliny umierają, gdy stężenie CO₂ spada poniżej 150 ppm. To jest ważne w kontekście klimatu i życia na Ziemi. Ponadto autor pisze, że spadek ilości CO₂ spowodował małą epokę lodowcową, co nie jest wcale oczywiste. Szkoda, że nie mamy danych na temat stężenia pary wodnej w atmosferze, bo właśnie para wodna jest głównym gazem cieplarnianym w atmosferze, o czym pisałem na łamach PAUzy Akademickiej w tekście pt. *Co się dzieje z wodą w atmosferze?* (PAUza 518).

Pozdrawiam,

* * *

ROBERT HOŁYST

Szanowny Panie Profesorze

błąd ewidentny, przepraszam, nie „do” lecz „o” powinno być. Nie przypisywałem sobie opinii, że niskie stężenie CO₂ spowodowało epokę lodowcową. Gdyby zamiast ostatniego zdania był taki jak niżej fragment, było by lepiej (a może i ciekawiej):

Niektórzy szacują, że przed rokiem 1492 na kontynencie Ameryki Północnej żyło ok. 25 milionów ludności, głównie na terenach zalesionych. Około roku 1650 liczba ta zmniejszyła się o około 90%. Po tym nastąpiła „reforestacja”, i związane z tym wzmożone pobieranie dwutlenku węgla, którego stężenie w atmosferze w latach 1570–1620, spadło o 7–10 ppm, osiągając wartość minimalną 271,8 ppm w 1610 roku. To miało doprowadzić do małej epoki lodowcowej. Rok 1610 określany jest jako Orbis Spike (pikulec globu). Dla niektórych jest to początek antropocenu. Dla innych, historia ta, nie jest do zaakceptowania, chociażby dlatego, że w tle jest wielkie umieranie (Great Dying) ludności rdzennej, związane z przybyciem Kolumba.

Serdecznie pozdrawiam,

WALENTY OSTASIEWICZ

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze...

Wielu ludzi na całym świecie zastanawia się, jak zatrzymać zalewającą nas falę publicznego kłamstwa. Również w PAUzie trwa rozmowa na ten temat, zapoczątkowana przeszło rok temu tekstem profesora Grzegorza Bartosza *Czy publiczne mówienie nieprawdy powinno być bezkarne?* (PAUza 703).

Nie znam co prawda wszystkich bardzo licznych głosów w tej sprawie, ale wydaje mi się, że nikt dotąd nie znalazł jeszcze skutecznego sposobu opanowania tej współczesnej hydry. Tak, hydry, bo faktycznie przypomina starożytną Hydrę lernejską, której oddech zabija, a w miejsce jednej odciętej, ziejącej jadem głowy wyrasta kilka następnych. Dzisiaj nikt nawet nie marzy o powtórzeniu wyczynu Heraklesa, któremu – jak wiemy – udało się gada pokonać. Obecnie zadanie wydaje się zresztą jeszcze trudniejsze, bo nie mówimy już o kilkunastu głowach, z jakimi miał do czynienia Herakles, ale o kolosalnej, trudnej do wyobrażenia liczbie kłamstw krążących bez przeszkód po globalnej sieci i zatruwających cały świat.

Przypomnijmy, że Herakles pokonał w końcu Hydrę, przypalając płonącymi drzewami odcięte (lub zmiażdżone) głowy, a jedną, nieśmiertelną, zakopał i przywalił ciężkimi głazami. Można sobie taki wyczyn wyobrazić, gdy mamy do czynienia z siedmioma, dziewięcioma, może nawet stoma głowami, ale jak odciąć i przypalić biliony? I gdzie znaleźć herosa, który mógłby tego dokonać?

Ktoś powie, że czas herosów już minął i należy go zastąpić odpowiednią liczbą zwykłych zjadaczy chleba (w końcu *nec Hercules contra plures*). Ale łatwo zauważyć, że nawet gdyby walkę podjęło miliony ludzi, jest to ciągle mikroskopijna liczba w stosunku do ogromu kłamstw, które trzeba odciąć i wypalić. Czyli taka „siłowa” metoda pokonania hydry jest trudna do wyobrażenia. Potrzebny jest lepszy pomysł.

Myślę, że wszyscy w Polsce, a już na pewno wszyscy Krakowianie, znają historię smoka wawelskiego, który został pokonany przez szewca Skubę nie siłą, lecz sposobem. Szewc nie próbował zaatakować smoka mieczem (pewnie zresztą nie umiałby się nim posłużyć), tylko sprytnie nakarmił go baranem wypełnionym siarką, wskutek czego smok – próbując ugasić straszliwe pragnienie – dotąd pił wodę z Wisły, aż pękł.

Zastanawiam się, czy analogicznej metody nie można by zastosować do pokonania hydry kłamstwa internetowego. Wiemy, że ta nasza nowoczesna hydra żywi się informacjami, których jej dostarczamy, korzystając z Internetu, a szczególnie z platform społecznościowych. Wydaje się przy tym nienasycona, pochłania wszystko, prawdę i fałsz, i rozprzestrzenia je po świecie. Właściciele platform uparcie twierdzą, że w tym gąszczu nie da się oddzielić prawdy od fałszu i w konsekwencji odmawiają skutecznego monitorowania treści, a wszelkie próby zmuszania ich do tego traktują jako narzucanie cenzury. Moim zdaniem właśnie ta mieszanina prawdy i fałszu jest najgroźniejsza, ponieważ legitymizuje najbardziej bezczelne fałszerstwa, które ogrzewają się w otoczeniu prawdziwych wiadomości. Gdyby było wiadomo, że w platformach społecznościowych jest – powiedzmy – 90% wiadomości fałszywych, z pewnością ludzie

podchodziliby do nich z dużą podejrzliwością i ta metoda rozprzestrzeniania kłamstw byłaby znacznie mniej skuteczna, a może nawet straciłaby rację bytu.

Nasuwa się więc przekorna myśl, aby – zgodnie ze sformułowanymi przez Sun Zi zasadami prowadzenia wojny – zalew kłamstwa pokonać jego własną bronią, czyli również kłamstwem. Innymi słowy, pokonać hydrę jej własnym jadem.

Jestem laikiem w tych sprawach i dodatku nie korzystam z platform, toteż nie wiem, co powiedzą na to fachowcy, ale wyobrażam sobie, że może dałoby się, na przykład, zorganizować armię botów, które za pomocą AI będą masowo tworzyć kłamliwe bzdury i faserować nimi platformy społecznościowe, tak aby albo zatrwały się tą jadowitą strawą, albo pękły z przejedzenia.

Gdyby udało się w ten sposób spowodować, aby na platformie było mniej niż 10% prawdziwych wiadomości, wówczas będzie ona odwiedzana jedynie dla zabawy lub sprawdzenia najnowszych plotek (w sensie: co też ludzie jeszcze nie wymyślą), bez ambicji uzyskania rzetelnej informacji. Byłaby więc mniej groźna i może niewarta szczególnej uwagi. Bo plotki, o ile nie pretendują do prawdy, służą głównie rozrywce i same wygasają po pewnym czasie, zaś próba ich skutecznej eliminacji jest z góry przegrana. Nie da się wszak zmienić ludzkiej natury (choćby były takie próby, z tragicznymi skutkami). A plotkowanie jest cechą bardzo ludzką, zapewne tak stare jak sam człowiek. Być może nawet – jak twierdzą niektórzy – to właśnie plotkowanie naszych przaprzodków walczyło przyczyniło się do rozwoju ludzkiej mowy, a więc i wzajemnych relacji, a niewykluczone, że nawet i mózgu.

Również dzisiaj ludzie uwielbiają plotkować, a Internet jest znakomitym miejscem, gdzie tę przyjemność można zrealizować. Toteż walka z plotką w Internecie jest jałowa i niewarta zachodu. Chodzi tylko o to, żeby było wiadomo, że to plotka, a nie prawda.

Ponieważ przyroda nie znosi próżni, skuteczność takiej akcji wymaga również stworzenia platformy, gdzie wiadomości są dokładnie sprawdzane, a ewentualne pomyłki szybko korygowane. Wzoru nie trzeba daleko szukać, mamy przecież zadziwiająco dobrze działającą, powszechnie dostępną Wikipedię. Wystarczy ją odpowiednio wzmocnić.

Początkowo ten tekst był pomyślany jako żart, bo przywołanie w tym kontekście krakowskiej legendy wydało mi się zabawne. Teraz jednak myślę, że pomysł wart jest chwili namysłu. Bo może – kto wie – jest realizowalny. Chociaż z całą pewnością nie będzie to ani proste, ani tanie.

Jako że jest to w dużym stopniu kwestia bezpieczeństwa państwa, może dałoby się przekonać kogo należy, aby np. kontrwywiad rozważył zorganizowanie i sfinansowanie takiego programu. Mam nadzieję, że znajdą się tam odpowiedni fachowcy.

A skoro sprawa nie dotyczy jednego państwa, należałoby zapewne zorganizować nieoficjalną „koalicję chętnych”, których służby podejmą odpowiednie kroki, przeznacząc na ten cel poważne środki ze znacznie ostatnio rosnących budżetów obronnych.

Nie wiem, czy taki program ma sens i czy da się go zrealizować. Ale już dzisiaj mogę zaproponować jego nazwę: SKUBA.

ANDRZEJ BIAŁAS

PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy;

Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny;

Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.

Bezpłatna subskrypcja